

eleWator

kwartalnik literacko-kulturalny
nr 5 (3/2013) – lipiec/wrzesień 2013
ISSN 2299-5692
copyright © eleWator, Szczecin 2013

redagują:

Paweł Nowakowski (proza, sekretarz redakcji), Paweł Orzeł (film),
Monika Petryczko (muzyka), Arkadiusz Polewka (sztuki plastyczne
i architektura), Karol Samsel (eseje i szkice), Artur Szłosarek (krytyka
literacka), Konrad Wojtyła (poezja, redaktor naczelny)

stali współpracownicy:

Edward Balcerzan (Poznań), Leś Belej (Kijów), Jakub Bińkowski (Londyn),
Izabela Fietkiewicz-Paszek (Kalisz), Anna Frajllich (Nowy Jork),
Krzysztof Hoffmann (Poznań), Artur Daniel Liskowacki (Szczecin),
Krzysztof Niewrzęda (Berlin), Małgorzata Południak (Dublin),
Andrzej Wasilewski (Paryż), Grzegorz Wróblewski (Kopenhaga)

korekta: Agata Borowicka i Anna Nowakowska

obrazy na okładce: Donat Stenzel

grafiki i obrazy w numerze: Andrzej Fogtt

zdjęcie na 216 stronie: Andrzej Łazowski (www.lazowski.eu)

redakcja i wydawca:

Fundacja Literatury imienia Henryka Berezy

71-246 Szczecin, ul. Eugeniusza Romera 10e

tel. 605 631 746

www.elewator.org / pnowakowski@elewator.org

www.fundacja-berezy.org / biuro@fundacja-berezy.org

Tekstów nie zamówionych redakcja nie zwraca i nie przechowuje.

Redakcja zastrzega sobie prawo do zmiany tytułów, skracania
oraz redagowania tekstów, o ile nie wypacza to sensu oryginału.

druk: KAdruk, Szczecin

publikacja ukazała się dzięki wsparciu Miasta Szczecin
oraz Stowarzyszenia Gmin Polskich Euroregionu Pomerania
dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego
bezpłatny dodatek (*Homo Pictor, Homo Viator* Andrzeja Turczyńskiego)
zrealizowano z budżetu Województwa Zachodniopomorskiego



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.



Henryk Bereza	5	Janusz Drzewucki, Czarna cisza, Podzwonne dla Henryka, Henryk Bereza jakiego znałem
	21	Krystyna Sakowicz, Pianola do snów
	25	Henryk Bereza, Na szczęście
	26	Patrycja Jarosz, Dziennik, który jest czymś zupełnie innym. Oni-riada Henryka Berezy
	33	„ Jakiego stocka nie masz? ”. Bohdan Zadura o przyjaźni z Henrykiem Berezą, rozmawia Konrad Wojtyła
	41	Grzegorz Strumyk, Bo Ziemia jest płaska
	47	Henryk Bereza, Szkoła
	49	Kamil Sipowicz, Henio
	50	Bogusław Kierc, Wilkołak
	52	Waldemar Bawolek, Wszyscy Święci Męczennicy, chrońcie mnie przed złem
	54	Magda Rabizo-Birek, Henryk
	58	Andrzej Skrendo, Co zrobił mi Bereza?
	60	Henryk Bereza, Zapiski 56. 20.09.2011 r. – 7.06.2012 r. (fragmenty)
	73	Rozmowa ze „zwykłym człowiekiem” . Z Andrzejem Gąsowskim rozmawia Paweł Orzeł
	83	Dariusz Bitner, Czerwone skarpetki Berezy
poezja	103	Eugeniusz Tkaczyszyn-Dycki, I. Skutki uboczne, II., III. Piosenka o wierszu współczesnym
	106	Mariusz Grzebalski, Jeszcze jedna mała proza, Jeszcze, W otwartym oknie pociągu
proza	108	Sándor Márai, Maestro
	130	Marcin Bałczewski, Joyce Juice
poezja	135	Halszka Olsińska, Szkielet szczupaka, Prześwietleni, Motyl na obrazku dziecka
epistoły	138	Henryk Bereza, Listy do poetów: do Halszki Olsińskiej
z Londynu	142	Noil Branc, Hucpa?
z Wrocławia	145	Tomasz Kamiński, Głównie bodiaki i łopuchy. Zielsko w prozie Schulza
sztuki plastyczne i architektura	153	Henryk czyta jednowiersz . Z Andrzejem Fogttem, malarzem, rozmawia Arkadiusz Polewka
	156	Indi Orlando, Na czas

krytyka literacka	162	Paweł Orzeł, Osobliwy tryptyk o życiu (Henryk Bereza, <i>Miary, Względy, Zgłoski</i>)	
	166	Grzegorz Pertek, Anaglif (o) poetce (<i>Wielogłos. Krystyna Miłobędzka w recenzjach, szkicach, rozmowach</i>)	
	168	Alan Sasinowski, Przyjemność i śmierć (Jerzy Pilch, <i>Wiele demonów</i>)	
	170	Paweł Marcinkiewicz, Jorie Graham po polsku, czyli pizza americana (Jorie Graham, <i>Prześwity</i>)	
	173	Krzysztof Lichtblau, D (Krzysztof Hoffmann, <i>Dubitatio. O poezji Eugenia Tkaczyszyna-Dyckiego</i>)	
	175	Paweł Piszczatowski, Psaln i inne wiersze, czyli „dar dla uważnych” (Paul Celan, <i>Psaln i inne wiersze</i>)	
	180	Paweł Chojnacki, Kałuża z wyłączonym reflektorem. O Zapiskach z Homs Jonathana Littella (Jonathan Littell, <i>Zapiski z Homs</i>)	
	182	Joanna Giza, Konanie baby (Anna Świrszczyńska, <i>Kona ostatni człowiek</i>)	
	185	Marcin Orliński, Przemiana (Krzysztof Niewrzęda, <i>Zamęt</i>)	
	187	Paweł Orzeł, Przed wojną: Ni mniej, ni więcej niż „po prostu człowiek” (Miguel de Unamuno, <i>Po prostu człowiek – nowele</i>)	
	189	Grzegorz Dyduch, Czytane po latach: Piętni dwudziestoletni w latach posunięci	
	192	Halina Lizińczyk, Ostatnie czytanie: Paradiso i parodia. Pantomokrator Józefa Łozińskiego	
	muzyka	196	Monika Petryczko, Jej Wysokość Dead Can Dance (Dead Can Dance, <i>In Concert</i>)
		198	Tadeusz Hnat, Czas na swing (Mikrokolektyw, <i>Absent Minded</i>)
		200	Monika Petryczko, Nie ufajcie Jarząbkowi, bo Was zrobi, bo Was zrobi (Łona, Webber & The Pimps, <i>w S-1</i>)
202		nadesłano	
stałe felietony	203	„nie w rzedzie” – Krzysztof Niewrzęda	
	206	„poza mainstreamem” – Izabela Fietkiewicz-Paszek, Dorota Ryst. Podróż od przypadku do nieistniejącego rogu	
	208	„w swoim tempie” – Krzysztof Hoffmann, Pięć spieć, słabych szwów i styków	
	210	„dlaczego nie jestem malarzem” – Małgorzata Południak, Niebieskie, zielone, brązowe	
	212	„bez przesady” – Edward Balcerzan, Absolutnie? Kompletnie? Nikogo?	
	215	Konkurs Literacki imienia Henryka Berezy „Czytane w maszynopisie”, Edycja 1, 2013 – nominacje	
	215	VI Ogólnopolski Konkurs Poetycki „Refleksy”	



Andrzej Fogtt – „Jasnoświeceni”, 80 x 130 cm, olej na płótnie

Andrzej Fogtt (ur. w 1950 r. w Poznaniu) – malarz, grafik, rzeźbiarz. Mieszka w Warszawie. Laureat VIII Festiwalu Sztuki w „Zachęcie” (1979), Grand Prix Festiwalu Polskiego Malarstwa w Szczecinie (1984). Odznaczony brązowym medalem „Zasłużony Kulturze Gloria Artis” (2009). Reprezentował Polskę na Biennale Sztuki w Wenecji (1984). Swoje prace prezentował na wielu wystawach indywidualnych m.in. w Narodowej Galerii Sztuki „Zachęta” (1986). Uczestniczył w licznych wystawach zbiorowych w Polsce i za granicą m.in. w wystawie Polskiej Sztuki Współczesnej w Londynie (1987), Polskiej Sztuki XX Wieku w Muzeum Narodowym we Wrocławiu (1989), w Maneżu w Moskwie (1987), w Arras we Francji (2007). Autor wizji architektonicznej „Wieży Jedności Europejskiej” (Tower of Unity, 1992) i „Bramy Światła” dla Chin (Light gate of China, 2000). Jego prace znajdują się m.in. w zbiorach: BWA w Warszawie, Instytutu Polskiego w Paryżu, Muzeum Narodowego w Kielcach, Muzeum Narodowego w Szczecinie, Muzeum Narodowego we Wrocławiu, Muzeum Sztuki w Łodzi, Muzeum Narodowego w Pradze, Muzeum Puszkina w Moskwie, Uniwersytetu Humboldtów w Berlinie, miasta Arras we Francji oraz w wielu kolekcjach prywatnych.

Janusz Drzewucki

Czarna cisza

Kiedy
się obudziłem,
mżył deszcz,
przemyłem twarz,
wypiłem kawę,
przeplukałem usta
i pobiegłem do lasu.

Deszcz mżył coraz
bardziej, najpierw
biegłem tą samą drogą
jak co dzień od miesiąca,
wzdłuż jeziora, w stronę
Kręglu; w środku lasu
spłoszyłem sarnę, stała
na skraju drogi,
bez ruchu, jedną,
może dwie sekundy,
potem skoczyła między
drzewa; biegłem dalej
nad kanałem lateralnym,
Aleją Ubogich, przy której
stoją letniskowe domki
partyjnych dygnitarzy
z zapomnianych
już czasów, których
nie ma co wspominać.

Bolały mnie nogi,
zrobiły się ciężkie
jak diabli, kłuło mnie
z lekka w piersiach,
deszcz już nie mżył,

ale padał, padał coraz
mocniej, dobiegłem
do Lipkusza i zamiast
skręcić w Konwaliową,
ewentualnie w Paprociową
albo w Cyprysową, a potem
do szosy Jana Pawła II
i dalej, mijając Wrzosową
i Wierzbową, nagle
zrobiłem coś, czego
nigdy wcześniej
nie robiłem dla zasady,
w jednej chwili zawróciłem
i zacząłem biec z powrotem,
tą samą drogą,
w jednej chwili nogi
zrobiły się lekkie,
kłucie w piersiach ustało,
biegłem swobodnie,
coraz szybciej, nie czując
zmęczenia, dotarłem
na Piaskową.

Wziąłem prysznic,
zjadłem śniadanie,
zadzwoiłem
do „Twórczości”,
odebrał Bohdan,
powiedział krótko:
zmarł Henryk,
dzisiaj rano,
przed godziną.

Deszcz padał równo,
jednostajnie i beznadziejnie,

jakby już nigdy nie miał
przestać padać i tak padał
do samego wieczora,
skończył się dzień,
skończył się wieczór,
nastała noc, deszcz
nie padał tak intensywnie,
tylko mżył, mżył i mżył,
koło północy przestał
wreszcie mżyć,
zapadła czarna
cisza.

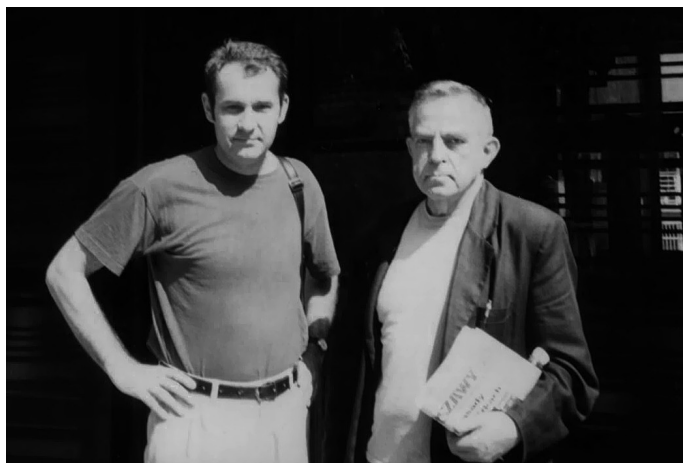


foto: z archiwum Renaty i Janusza Drzewuckich
(Warszawa, ul. Wiejska, 1996 r.);
Janusz Drzewucki i Henryk Bereza



Janusz Drzewucki

Podzwonne dla Henryka

We wtorek,
jak zwykle o tej samej porze
i w tym samym miejscu zjadł obiad,
wypił kawę, potem poszedł do siebie,
ale do domu nie doszedł,
na placu Trzech Krzyży poczuł się
źle, spod hotelu Sheraton karetka pogotowia
zabrała go do szpitala na Czerniakowie;
tego samego dnia na moście Poniatowskiego,
w drodze na Stadion Narodowy
kibice polscy starli się z rosyjskimi,
interweniowała policja,
po całkiem dobrym meczu Polska
zremisowała z Rosją i zachowała szansę
na wyjście z grupy,
bo Czesi wygrali z Grekami.
We środę dowiedzieliśmy się,
że w szpitalu stracił przytomność,
nie ma z nim kontaktu,
oddycha dzięki respiratorowi,
jego stan jest ciężki, ale podobno
nie beznadziejny; wieczorem Portugalia
wygrała z Danią, a Niemcy z Holandią.
W poniedziałek było wiadomo, że nie jest
z nim ani lepiej, ani gorzej, a to znaczy,
że jest niestety źle,
wykryto u niego tętniaka i guz w śródpiersiu,
z uwagi na zły stan zdrowia operacja jest
wykluczona, póki co utrzymywany jest
w śpiączce farmakologicznej;
wieczorem Hiszpania
pokonała Chorwację, a Włochy Irlandię.
Albo we środę, albo w czwartek

zapadła decyzja, że będzie jednak
poddany operacji,
przewieziono go do innego szpitala,
chyba na Płocką, ale zanim operacja się
zaczęła, zmarł; wieczorem
w ćwierćfinale Czechy przegrały z Portugalią.
Pożegnaliśmy go w następnym tygodniu,
we środę, najpierw
w kościele św. Andrzeja Apostoła
przy Chłodnej, potem na starych Powązkach.
Pochowano go obok Marka Hłaski,
przyjaciela z młodości,
który zmarł ponad czterdzieści lat wcześniej;
wieczorem Portugalia przegrała z Hiszpanią
w półfinale,
po dogrywce i rzutach karnych.
W niedzielę uświadomiłem sobie
w pewnym momencie, nie bez zażenowania
i nie bez wstydu, że mówię już o nim w czasie
przeszłym;
wieczorem w finale na Stadionie Olimpijskim
w Kijowie Hiszpanie wygrali z Włochami,
obronili tytuł mistrzów Europy
i przeszli do historii, jak zgodnie
orzekli sprawozdawcy i komentatorzy.
Proza z powroza,
jak mówił, i jeszcze:
poezja jak dzwon.

Janusz Drzewucki (ur. w 1958 r. w Kruszwicy) – poeta, krytyk literacki, dziennikarz, wydawca, członek zespołu redakcyjnego „Twórczości”. Mieszka w Warszawie. Laureat Nagrody im. Kazimierzy Iłakowiczówny (1988), Nagrody im. Stanisława Wyspiańskiego (1989), Funduszu Literatury Ministerstwa Kultury i Sztuki (1989), Nagrody im. Stanisława Piętaka (1991), XVIII Międzynarodowego Listopada Poetyckiego w Poznaniu (1995). Autor książek krytycznoliterackich: *Chaos i konwencja* (1988), *Smaki słowa. Szkice o poezji* (1988) *Akropol i cebula. O Zbigniewie Herbertcie* (2004) oraz zbiorów wierszy: *Ulica Reformacka* (1988), *Starożytny język* (1989), *Podróż na południe* (1995), *Światło września* (1998), *Ostatnia niedziela sierpnia* (2006), *Wiersze wybrane* (2010), *Dwanaście dni* (2013).

Janusz Drzewucki

Henryk Bereza jakiego znałem

1. Jeśli ci, będący już po tamtej stronie, widzą nas, będących jeszcze po tej stronie, to prawdopodobnie on – patrząc jak właśnie zabieram się do pisania wspomnienia o nim w pierwszą rocznicę jego śmierci – uśmiecha się w tak specyficzny dla siebie gorzko-kwaśny sposób i mówi: „No, no, ciekawe, cóż tam szanowny pan powypisuje, strach myśleć”.

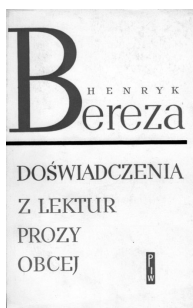
Henryka Berezę znałem długo, nawet bardzo długo, bo dwadzieścia pięć lat, ćwierć wieku. Ale chyba jednak nie dość długo. Gdy go poznałem, był już po ciężkim zawale, jaki przeszedł w 1984 roku i który wymógł na nim radykalną zmianę stylu życia. Jedną z oznak tej zmiany było to, że przestał palić, nie palił. Nie palił zaś w sposób tak swobodny i elegancki, jak swobodnie i elegancko palił w tym czasie Jerzy Lisowski, jego przyjaciel, redaktor naczelny miesięcznika „Twórczość”, z którym to pismem Henryk był związany przez całe niemal zawodowe życie; od 1951 jako współpracownik, od 1966 redaktor działu krytyki, od 1979 redaktor działu prozy, a z czasem także jako zastępca naczelnego aż do 2004 roku.

Kiedy dowiedziałem się, że kiedyś Henryk palił, byłem ciężko zaskoczony, nie miał bowiem w sobie nic z byłego palacza, z poddenerwowanego nałogowca, który co prawda rzucił nałóg, lecz nieustannie o nim myśli. A palił podobno jak smok. Ktoś, komu powierzył klucze do mieszkania przy ulicy Widok, gdy leżał po zawale w szpitalu, kto miał mu z mieszkania przywieźć potrzebne rzeczy, kto sprzątał mieszkanie przed jego powrotem ze szpitala, powiedział mi, że paczki papierosów leżały wszędzie: na biurku, na półkach, na parapetach okiennych, nie mówiąc już o szafie, w której zmagazynował solidny zapas.

Palił extra mocne. Kto kiedykolwiek wypalił choć jednego extra mocnego, wie o jakim rodzaju ekstremalnego doświadczenia w tej chwili mówię. Co istotne, nie liczył lat bez nałogu, nigdy nie usłyszałem, żeby powiedział z dumą: nie palę już dziesięć lat, dwadzieścia, trzydzieści. Wiadomo było, że nie pali od czasu zawału i tyle. Raz kiedyś, u nas w domu, gdy świętowaliśmy publikację jego *Pryncypiów* – kto wie, może nawet najważniejszej jego książki, chociaż najcieńszej, bo zaledwie pięćdziesięcioczworostronicowej – gdy w beztroskiej i żartobliwej atmosferze odparował jeden z żartów rzuconych pod swoim adresem, dodał: „Czuję się tak dobrze, że chyba nawet bym zapalił”, ale to wyznanie skwitowaliśmy tylko następną salwą śmiechu.

2. Poznałem go jesienią 1987 roku w kawiarni wydawnictwa „Czytelnik” przy ulicy Wiejskiej. Pod numerem 12a. Nie mogę nie dodać, że na tej samej ulicy pod numerem 16 w oficynie mieści się redakcja „Twórczości”. Do kawiarni „Czytelnika” Henryk przychodził na obiad (bo kawiarnia „Czytelnika” to kawiarnia tylko z nazwy) codziennie, jak to się mówi „od zawsze”. Do „Czytelnika” przyprowadził mnie i przedstawił Henrykowi Leszek Bugajski. Tego dnia Leszek przyjechał z Krakowa, gdzie jeszcze mieszkał, a ja z Torunia.

Mieszkałem wtedy w Toruniu, ale pracowałem w Bydgoszczy, w wydawnictwie „Pomorze”, w którym kierowałem działem literatury pięknej. Miałem wówczas na koncie kilka publikacji poetyckich w „Twórczości”, a także zaledwie czteroletnią,



lecz intensywną współpracę recenzencką ze „Studentem” i „Życiem Literackim”, gdzie Leszek prowadził dział krytyki. Właśnie Bugajski namówił mnie na wydanie w „Pomorzu” antologii *Nowa proza*, w jakiej miały znaleźć się utwory m.in. Jana Drzeżdżona, Andrzeja Łuczeńczyka, Tadeusza Siejaka, Dariusza Bitnera, Jerzego Łukosza, Krzysztofa Bieleckiego, Marka Bukowskiego, Pawła Przywary i Krystyny Sakowicz (to o niej napisał potem Tadeusz Komendant, reagując na docinki w rodzaju „chłopcy od Berezy”, że nie ma chłopców, lecz chłopiec, jeden jedyny chłopiec, którym jest Krystyna Sakowicz, rzecz jasna). W radzie tej antologii oprócz Henryka, Leszka i Tadeusza, znalazł się także Wiesław Myśliwski oraz – nieco na wyrost zresztą – piszący te słowa, jako nie tyle krytyk, co raczej wydawca, potencjalny wydawca.

Pewnego jesiennego poranka spotkaliśmy się z Leszkiem Bugajskim na Dworcu Centralnym w Warszawie, odwiedziliśmy redakcję miesięcznika „Fantastyka”, z którym Leszek współpracował (pознаłem tu Rafała Ziemkiewicza, jeszcze przed debiutem książkowym, ale już młodego, zdolnego i utalentowanego, przed którym rysowała się świetlana przyszłość literacka, jak nam powiedział w zaufaniu naczelny „Fantastyki” Adam Hollanek), a następnie poszliśmy do „Czytelnika”. Henryk jak zwykle (o tym „jak zwykle” byłem już przez Leszka uprzedzony) siedział przy swoim stoliku pod piątym filarem od wejścia. Wtedy poznałem też Olimpię Grochowską, wieloletnią redaktorkę „Czytelnika” i Wiedzy Powszechnej, z którą Henryka wiązała przyjaźń z Markiem Hłaską. Pamiętam ten dzień bardzo dobrze, bo poznałem wówczas również moją przyszłą żonę.

3. Niebawem miałem przeprowadzić się na stałe do Warszawy, ale zanim do tego doszło, pracowałem w Bydgoszczy nad wydaniem *Nowej prozy*. Marzyłem także o wydaniu ogromnej powieści Jana Drzeżdżona *Pergamonia* (Jan zaproponował mi do wydania jeden z dwu swoich ostatnich utworów – *Pergamonię* lub *Rotardanię*, wybrałem *Pergamonię*), potrzebna była jednak recenzja wydawnicza, najlepiej pióra Henryka Berezy. Przy następnej bytności w Warszawie przyniosłem mu do mieszkania w dwu czy też trzech teczkach maszynopis tego, jak to z uwagi na objętość określił w recenzji, „słoniowatego” utworu.

Niemal błyskawicznie namówiłem go do wydania w „Pomorzu” także książki krytycznoliterackiej. Miały nią być *Obroty* z podtytułem *Ciąg dalszy «Biegu rzeczy»*. W tomie tym znalazł się między innymi tekst o *Pergamonii*, ale także szkice *Baranoja* i *Błazenada*, którymi skwitował liczne ataki – na siebie i lansowaną przez siebie prozę z ducha rewolucji artystycznej – na łamach miesięcznika „Literatura”. Jeśli ktoś zajrzy do numerów „Literatury” z lat 1986-1988, dowie się z licznych artykułów, pod którymi notabene widnieją całkiem znaczne i znakomite nazwiska, że jest on „szkodnikiem na rzadko spotykaną skalę”, „krytycznym magnatem z koncesją na określone pole działania”, „krytykiem równie apologetycznym, co pozbawionym talentów analitycznych”, „autorem o zapędach autorytarnych i monopolistycznych”, „głównym winowajcą, kimś kto pomimo braku cienia poczucia humoru w polemikach”, będąc „przedziwną mieszaniną nieśmiałości z apodyktycznością”, kierując się „nadgorliwością” i „euforią”, powodowany „swym krytycznym imperializmem”, doprowadził – jak na „ojca chrzestnego rewolucjonistów” przystało – do stworzenia własnego „imperium”, zwanego także „szkołą Berezy”, „szkółką Berezy”, „stajnią Berezy” lub „kompanią geniuszy”, następnie ogłosiwszy się jej samozwańczym „wodem”, „guru” i „trenerem” w jednej osobie.

Z tego czasu pozostał mi list od Henryka, jeden jedyny list, jaki dostałem od niego. Schowałem go w archiwum na górnej półce, w jednym ze skoroszytów z literacką

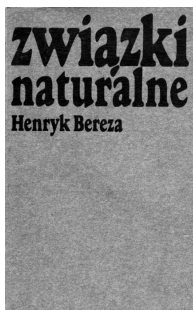
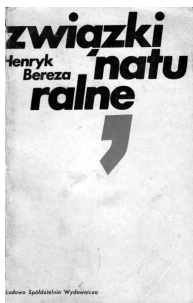


korespondencją. Nie mam jednak ani dość siły, ani dość odwagi, aby zajrzeć do niego, nawet w rok po śmierci nadawcy. W liście tym Henryk tytułuje mnie panem Januszem, co jest o tyle znamienne, że przejście na ty zaproponował mi niemal błyskawicznie, po kilku, kilkunastu tygodniach znajomości. Doszło do tego w restauracji „Szanghaj” przy ulicy Marszałkowskiej, dokąd w towarzystwie Leszka Bugajskiego udaliśmy się raz jeden na obiad. Nie kryję, że równie błyskawicznie znalazłem się w ścisłym kręgu oddziaływania Henryka, oddziaływania nie tyle artystycznego, ale również tak intelektualnego, jak i duchowego.

4. Zanim jednak przeprowadziłem się do Warszawy na stałe w styczniu 1990 roku, zdążyłem zredagować w Bydgoszczy i oddać do składu antologię *Nowa proza, Pergamonie* oraz *Obroty*. Co ciekawe, to właśnie książka Henryka miała szansę ukazać się najszybciej. Mieszkając już w Warszawie, zrobiłem ostatnią, bodajże drugą korektę, sporządziłem indeks nazwisk. W tym też czasie, czyli na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych byłem już autorem recenzji poświęconych prozie wspomnianych wcześniej autorów: Drzeżdżona, Bitnera, Bukowskiego i Bieleckiego, a także Józefa Łozińskiego, Romana Wysogłada, Wojciecha Czerniawskiego, Grzegorza Musiała, Zbigniewa Reicha, które ukazały się na łamach „Twórczości”, „ITD” i „Rzeczpospolitej”. Na łamach „Polityki” (latem 1990) pod tytułem *Świadek żywej prozy* opublikowałem recenzję z pierwszego tomu *Sposobu myślenia* Henryka z podtytułem *O prozie polskiej* (tom drugi *O prozie obcej* nigdy się nie ukazał, chociaż był już w „Czytelniku” zredagowany i gotowy do druku), w „Gazecie Wyborczej” ogłosiłem – napisany na zamówienie pierwszego kierownika działu kultury „GW” Antoniego Pawlaka – artykuł o stanie współczesnej prozy *Zmiana* (w sierpniu 1991), o młodej prozie upominałem się także (latem 1991) w dwutygodniku „Atak” w artykule *Młodzieńczy bunt literatury*, a następnie w „Polityce” (w kwietniu 1992) w tekście *Chłopcy do bicia* z nadtytułem *Nowej prozy prawdy i mistyfikacje*.

Z tekstem tym raz na łamach „Polityki”, dwa – w ukazującym się w Toruniu „Przeglądzie Artystyczno-Literackim” polemizował pewien krytyk, ale także trochę poeta, trochę prozaik, trochę dramaturg w jednej osobie. Jego polemika była bardzo, ale to bardzo przewrotna. Krótko mówiąc, krytyk ów wziął Henryka w obronę... przede mną, ku mojemu, ale nie tylko mojemu, zdziwieniu. Akurat tak się złożyło bowiem, że ów pan (nie wymieniam jego nazwiska, bo już nie żyje, więc nie może zareagować na to, co teraz piszę) właśnie po mnie objął stanowisko w wydawnictwie „Pomorze” i podjął decyzję o wstrzymaniu publikacji wspomnianych wyżej tytułów: *Nowej prozy*, *Pergamonii* i *Obrotów* (na szczęście książka Henryka ukazała się w roku 1996 nakładem Spółki Wydawniczo-Księgarskiej w Warszawie). Na replikę nie miałem siły, zamiast repliki opublikowałem tylko list do redakcji, w którym napisałem, że zamiast bronić Henryka przede mną, mój polemista lepiej by zrobił, gdyby wydał zredagowaną przeze mnie jego książkę. Nic więcej napisać nie byłem w stanie. Absurdalność sytuacji sprawiła, że poczułem się bezsilny.

Kiedy refleksją o absurdalności życia i bezsilności wobec tej absurdalności podzieliłem się w rozmowie z Henrykiem, odpowiedział, że absurdalność i bezsilność to jest to z czym ma przez całe życie do czynienia i dobrze byłoby, gdybym sam też wziął to pod uwagę i zaczął się z tym liczyć: bezsilności doświadczać będę raz po raz. Tak czy owak, nie udało mi się wydać *Obrotów*, ale udało mi się napisać obszerny szkic o nich *Henryk Bereza czytany w maszynopisie* (w „Twórczości” w 1990), a potem recenzję *Obroty polskiej prozy* z książkowego już wydania (w „Rzeczpospolitej” w 1996).



5. Walcząc z absurdem życia i świata, prowadził niezwykle systematyczny tryb życia. Codziennie o tej samej porze wychodził z domu do pracy, w kiosku w Alejach Jerozolimskich kupował „Życie Warszawy” (a gdy to pismo zlikwidowano, „Gazetę Wyborczą”), z czasem z pracującym w tym kiosku panem Andrzejem Gąsowskim zaprzyjaźnił się. Szedł Jerozolimskimi, pokonywał skrzyżowanie Jerozolimskich z Kruczą, potem skręcał w Bracką, następnie przez plac Trzech Krzyży dochodził do Wiejskiej.

O tej samej porze przychodził do „Twórczości”, o tej samej porze z „Twórczości” wychodził i szedł na obiad do „Czytelnika”, gdzie miał swój stolik, podobnie jak swój stolik miał i ma tutaj Tadeusz Konwicki. Widząc Henryka przekraczającego w poprzek plac Trzech Krzyży, widząc go wchodzącego i wychodzącego z „Twórczości”, widząc go idącego do „Czytelnika”, można było regulować zegarki, podobnie jak mieszkańcy Królewca regulowali zegarki na widok spacerującego Immanuela Kanta.

W „Czytelniku” Henryk jadł obiad, pił kawę, rozmawiał z przyjaciółmi, spotykał się z pisarzami, którzy zjeżdżali z wszystkich stron Polski do Warszawy, specjalnie po to, aby się z nim spotkać. Najczęściej do jego stolika dosiadała się Olimpia Grochowska, ale także Józef Wilkoń, wspaniały malarz, rzeźbiarz i grafik, a także my: Leszek Bugajski, Tadeusz Komendant czy zjeżdżający z Paryża Krzysztof Rutkowski albo wracający z PAN-u do domu na Sadybie Zbigniew Mikołajko. Kogo ja przy tym stoliku nie widywałem! Chyba wszystkich pisarzy, jacy w „Twórczości” drukowali, więc nie ma co wymieniać ich nazwisk, zwłaszcza że wszystkich i tak wymienić się nie da. Na marginesie: Marian Pankowski, Józef Ozga Michalski czy Andrzej Turczyński odwiedzali go wyłącznie w redakcji, nigdy w kawiarni.

W ostatnich kilkunastu, kilku latach przysiadali się do niego stali bywalcy „Czytelnika”: Gustaw Holoubek, Jerzy Gruza, Kazimierz Kutz, oczywiście Janusz Głowacki, o ile akurat nie bawił w Nowym Jorku lub gdzieś w wielkim świecie, Jerzy Fedorowicz – poseł i senator, ale przede wszystkim aktor, ponadto ksiądz Andrzej Luter i plastyk Andrzej Fogtt. Nigdy nie widziałem Henryka siedzącego przy jednym stoliku z Tadeuszem Konwickim, o czym zresztą Henryk mówił z rozbawieniem, że byłby to koniec świata, gdyby do tego doszło. Panowie Bereza i Konwicki widywali się w „Czytelniku” codziennie, mówili sobie dzień dobry i do widzenia i to wszystko. W ciągu ostatnich piętnastu, dwudziestu lat Tadeusz Konwicki przychodził do „Czytelnika” po Henryku i przed Henrykiem z „Czytelnika” wychodził. Jadł obiad, pił herbatę, rozmawiał z Gustawem Holoubkiem lub Andrzejem Łapickim, z nikim więcej, i wracał do siebie na Nowy Świat. Jeden do drugiego odnosił się z szacunkiem i rewerencją. Opowiadał mi Andrzej Fogtt, że na tydzień czy dwa przed tym, jak Henryk stracił przytomność na placu Trzech Krzyży, skąd karetka pogotowia zabrała go do szpitala, gdzie kilka dni później zmarł, pan Tadeusz, zbierając się do wyjścia, nagle podszedł do Henryka, objął go i powiedział coś w rodzaju: trzymaj się, nie daj się.

6. Po wyjściu z „Czytelnika” Henryk wracał do domu, były jednak lata, że po drodze zaglądał do Olimpii przy Frascati, albo do nas (mieszkamy przy Wiejskiej w kamienicy między „Czytelnikiem” a „Twórczością”), wtedy przy kielichu albo nawet i przy dwu kielichach rozmawiało się o życiu i literaturze, a potem dla odmiany o literaturze i życiu. Z jednej strony dyskutowaliśmy o pisarzach, których już znałem, których twórczość śledziłem od dawna, o Leopoldzie Buczkowskim, Mieczysławie Piotrowskim, Wiesławie Myśliwskim, Tadeuszu Nowaku, Edwardzie Redlińskim, Marianie Pilocie, z drugiej zaś dowiadywałem się od niego (i z rozmów



z nim, i z jego książek) o pisarzach, jakich zdawałoby się nikt już dzisiaj nie czyta, o Józefie Mortonie, Romanie Turku, Stanisławie Zielińskim, Leonie Gomolickim, Bernardzie Sztajnercie, Anatolu Ulmanie czy Jerzym Waksmańskim.

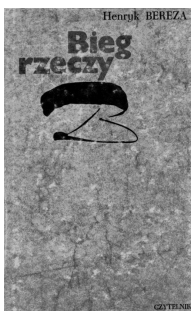
Dzięki niemu usłyszałem o tomie niezwykłych *Listów emigrantów z Brazylii i Stanów Zjednoczonych 1890-1891* oraz o Jakubie Wojciechowskim i jego *Życiorysie własnym robotnika* z 1930 roku. Widząc moje autentyczne zainteresowanie Wojciechowskim, pożyczył mi nawet jego książkę. To jedyna książka, o pożyczenie której go poprosiłem. Sam zaś pożyczył ode mnie *W drodze* Jacka Kerouaca i *Śladami Marka Hłaski* Piotra Wasilewskiego (mojego kolegi z czasów „Studenta”, redaktora zbioru zapomnianych opowiadań i felietonów Marka zatytułowanego *Hłasko nieznaną*). Kerouaca oddał po latach, ni stąd, ni zowąd, gdy wydawało mi się, że zapomniał o nim na amen, natomiast o książce o Hłasce zapomniał rzeczywiście na amen, ale też mu się w tej kwestii nie przypominałem. Wydawało mi się, że książki tej potrzebuje bardziej niż ja.

Jemu zawdzięczam lekturę wspaniałej powieści Alberta Parisa Gütersloha *Słońce i księżyc*, utworów Adolfa Muschga *W lecie zająca* oraz *Odczarowanie*, książek Olava Duuna *Ragnhilda* oraz *Ludzie i żywioły*. To on otworzył mi oczy na pisarzy, jakich niby już znałem, a jednak w istocie nie znałem, na Heimito von Doderera, Roberta Musila i Hermanna Brocha, na Lawrence’a Durrella i Johna Bartha, na Tarjei Vesaasa i Roberta Walsera. Zawdzięczam mu też rozmowy o pisarzach, na których gruncie czułem się dużo mocniejszy, o Borgesie i Cortazarze, o Thomasie Bernhardzie i Bohumilu Hrabalu, wreszcie o W.G. Sebaldzie i Imre Kérteszu, których poznawaliśmy w tym samym czasie.

Lubiłem rozmowy z nim, zwłaszcza o pisarzach, których znał, z którymi przyjaźnił się, o Buczkowskim i Piotrowskim, o Stanisławie Piętaku i Wilhelmie Machu, o Jerzym Andrzejewskim i Marku Hłasce, o Stachurze i Donacie Kirschu. A rozmówcą był świetnym, uważnym i wymagającym; nie zbywał żadnego pytania, odpowiadał precyzyjnie, bywało, że dosadnie. Równie świetnym był opowiadaczem. Jego opowieści o latach pracy krótko po wojnie na Uniwersytecie Warszawskim i w Instytucie Badań Literackich PAN, o przyjaźni z Hłaską, a także o ciągnącym się latami kumpelstwie ze Zdzisławem Maklakiewiczem i Janem Himilblichem (poznał ich przez Hłaskę) były niezrównane.

Podziwiałem jego pisarstwo krytycznoliterackie, znakomite teksty o twórczości Jarosława Iwaszkiewicza, Juliana Strykowski, Mirona Białoszewskiego, Marka Nowakowskiego, Stanisława Czyca – z jednej strony, z drugiej – Ryszarda Schuberta, Marka Słyka, Piotra Bednarskiego, Tadeusza Koziury, Grzegorza Musiała, a nawet z trzeciej, o ile trzecia strona istnieje – Jacka Krakowskiego, Krzysztofa Szatravskiego, Roberta Szczerbowski, Andrzeja Tuziaka, Tomasza Sęktasa. Najlepsze jego teksty, moim zdaniem, traktują o autorach, z którymi los związał go w sposób szczególny, na wskroś życiowy: o Nowaku i Myśliwskim, o Stachurze i Łuczeńczyku (na marginesie: w przywołanym tekście *Zmiana* napisałem, że miejsce Łuczeńczyka jest między najwybitniejszymi żyjącymi pisarzami, obok Myśliwskiego i Nowaka; tekst ukazał się 5 sierpnia 1991; 10 sierpnia zmarł Nowak, zaś 12 – Łuczeńczyk), o Dariuszu Bitnerze i Januszu Rudnickim. O wielu pisał, lecz niewiele tak, jak ci, mogli bądź mogą mu być wdzięczni za wszystko, co od niego dostali. Nikt nie dostał od niego więcej.

7. Trzeba powiedzieć, że był krytykiem nad wyraz wiernym wybranym przez siebie pisarzom. Towarzyszył im z książki na książkę: przede wszystkim – powtórzmy – Myśliwskiemu i Pilotowi, Głowackiemu i Redlińskiemu, Łozińskiemu i Siejakowi,

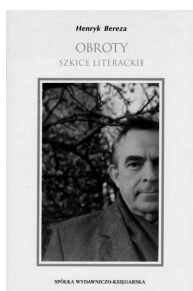
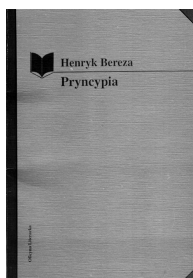


ale także Mikołajowi Samojlikowi, Markowi Bukowskiemu czy Krystynie Sakowicz. Ale też, trzeba przyznać, miał swoje humory, pisarzy porzucił. W *Sztuce czytania* (1966) i w *Prozaicznych początkach* (1971) pisał wszak o Kazimierzu Brandysie, Stanisławie Dygacie, Włodzimierzu Odojewskim, Jerzym Krzysztoniu, Andrzeju Kijowskim, Marku Nowakowskim, Kazimierzu Orłosiu, Bogdanie Madeju, Piotrze Wojciechowskim, od których twórczości z czasem odszedł, czego najjaskrawszym przykładem twórczość Tadeusza Konwickiego. Wychodził z założenia: jeśli trzeba byłoby o jakiegokolwiek książce napisać źle, to lepiej już w ogóle o niej nie pisać.

Miał swoje zasady, jasno wykladał je w szkicach o charakterze programowym. Myślę w tym miejscu o rozprawach *Nurt chłopski w prozie*, *Odzyskane źródła*, *Wobec tradycji literackiej ze Związków naturalnych* (dwa wydania w 1972 i 1978), *Ziemia pisarza z Takiego układu* (1981), o nawiązujących do tego tekstu esejach o znamienitych tytułach: *Dopowiedzenie*, *Powtórzenie*, *Dopowiedzenie drugie* i *Wyznania z Biegu rzeczy* (1982), ponadto myślę o szkicach *Aksjologia* i *Obrachunek z Obrotów* (1996), wreszcie o lapidarnych aż do bólu miniaturach składających się na *Pryncypia* (1993), powstałych po tekstach, jakie weszły do *Obrotów*, zwłaszcza takich, jak: *Unikalność*, *Artyzm*, *Wyobraźnia*, *Niedyskursywność* – pisanych wprost i pisanych nie wprost – jak *Jołopizm* czy *Shłubizm*, odwołujących się w sensie poznawczym i emocjonalnym do *Baranoi* oraz *Blazenady*.

Z książką tą – jej pełny tytuł brzmi *Pryncypia. O lasce literatury* – mam związane całkiem zabawne wspomnienie. Wiedziałem, że ma się ukazać nakładem Oficyny Literackiej, ale kiedy zobaczyłem ją w oknie wystawowym księgarni przy Wiejskiej, byłem zaskoczony, że Henryk nic mi nie powiedział dzień wcześniej, że już się ukazała, gdy się widzieliśmy, a widywali się przecież w redakcji codziennie. Wszedłem do księgarni, kupiłem egzemplarz i poszedłem z pretensjami do niego do „Twórczości”. Gdy wyjąłem książkę w złoto-zielonej okładce z torby, jego zdumienie nie miało granic; o tym, że książka właśnie wyszła, nie miał pojęcia. To był pierwszy egzemplarz *Pryncypiów*, jaki zobaczył. Natychmiast mu go podarowałem. Wróciłem do księgarni, kupiłem drugi, do którego wpisał mi dedykację: „Januszowi, ofiarodawcy najpierwszego egzemplarza, prawie współautorowi” etc. Dzisiaj myślę, że książką tą Henryk pożegnał się z krytyką literacką, czego wtedy wcale nie zauważyłem, nie tylko zresztą ja. Szkice z tej książki – profesor Zygmunt Kubiak podczas spotkania promocyjnego w kawiarni „Czytelnika” (trzy czy cztery teksty z tego zbiorku odczytał jak natchniony Zbigniew Zapasiewicz) nazwał „brewiarzem krytyka”. Nie mam teraz, po latach, wątpliwości, szkice *Krytyka*, *Pisanie* oraz *Życie* są tym właśnie, pożegnaniem.

Powoli zaczęła ewoluować jego autorska rubryka „Czytane w maszynopisie”, którą prowadził w „Twórczości” od 1977 roku, poczynając od omówienia zbioru opowiadań Stachury *Się*. Przez długie lata publikował w niej po prostu recenzje czytanych w maszynopisach, czyli przed książkową edycją, powieści i zbiorów opowiadań. Teraz, na przełomie XX i XXI wieku, w rubryce „Czytane w maszynopisie” drukował sny z cyklu *Oniriada* (ich wybór ukazał się w książce w roku 1997), *Wypiski* z dziennika, listy do pisarzy Dariusza Bitnera (ukazały się potem w tomie *Epistoły* w 1998) i Jerzego Łukosza, listy do przyjaciół Alicji Dryszkiewicz i Heinricha Teobalda, wreszcie minieseje o Jarosławie Iwaszkiewiczu i Witoldzie Gombrowiczu, o Thomasie Bernhardzie i Peterze Handkem, o Sebaldzie i Hrabalu, wreszcie o Myśliwskim i Redlińskim, o Tadeuszu Komendancie i Grzegorz Strumyku, których nowe książki zmusiły go raz jeszcze do wypowiedzi krytycznoliterackiej. I tak do roku 2004, gdy po śmierci Jerzego Lisowskiego postanowił odejść z redakcji, przeszedł na emeryturę i zrezygnował z publikowania następnych odcinków „Czytanego w maszynopisie”.



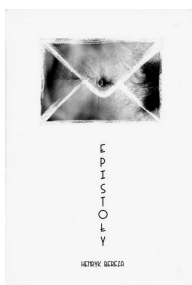
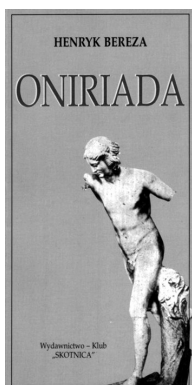
8. Podczas swoich osiemdziesiątych urodzin, które świętowaliśmy w redakcji w 2006 roku, uświetnionych publikacją obszernego tomu *Wypiski*, przywieziona przez Pawła Nowakowskiego i Andrzeja Skrendo wprost z drukarni, powiedział wręcz, że owszem całe życie zajmował się krytyką literacką, lecz nie uprawiał nigdy tak powszechnego dziennikarskiego recenzentstwa, że ma poczucie, graniczące z pewnością, iż jego teksty krytycznoliterackie przynależą do literatury pięknej, wreszcie, że czuje się nie tyle krytykiem, ile pisarzem – wypowiadającym się w swoim własnym, oryginalnym i nacechowanym artystycznie języku – korzystającym tylko z form wypowiedzi krytyce literackiej przynależnych.

Jego konfesja zrobiła wtedy na mnie mocne wrażenie. Wiedziałem, że Henryk ma poczucie własnej wartości. Zresztą nikt przy zdrowych zmysłach nie poważy się odbierać mu jego zasług: ani nurtu chłopskiego, ani rewolucji artystycznej w polskiej prozie – co zaobserwował, opisał i skodyfikował, nikt nie odbierze mu autorstwa tych wspaniałych określeń: „senioralność” oraz „życiopisanie”, którymi zdefiniował twórczość – odpowiednio – Iwaszkiewicza i Stachury.

Nie ulega wątpliwości, że jego pisarstwo krytycznoliterackie jest najwyższej próby. Jego fenomen tkwi w celności i przenikliwości, w oryginalnym, niemal aforystycznym stylu, zasadza się na budzącej szacunek i podziw umiejętności, z jaką eseista przechodzi od analizy do syntezy. Kiedy czytam jego książki dzisiaj, powtórnie, a nawet po raz trzeci czy czwarty, to niekoniecznie dlatego, abym chciał przypomnieć sobie co sądził o prozie autorów zapomnianych: Adama Augustyna, Andrzeja Twerdochliba, Henryka Jachimowskiego, Adolfa Momota, Bogdana Kamodzińskiego, Zbigniewa Ryndaka, Zygmunta Trziszki lub twórców, których poza nim nikt chyba nie docenił: Zdzisława Krupy, Marka Rożynka, Stanisława Piechockiego, Jarosława Borszewicza, Andrzeja Pieklaka, Sławomira Fafińskiego, ale po to, by obcować z jego pisarstwem po prostu, z jego – gdyby posłużyć się tytułem jednej z jego książek – sposobem myślenia o literaturze i życiu, o życiu i literaturze. Nie muszę szukać po bibliotekach tomów Andrzeja Hamerlińskiego-Dzierożyńskiego, Zdzisława Krupy, Zbigniewa Beli, Zbigniewa Loby, Jerzego Żelaznego, wystarczy mi to, co napisał o nich Henryk Bereza. Idąc jeszcze dalej, powiem, że największą przyjemność czytelnicza, jaką mam czytając Berezę, wynika z tego, że nie czytam Berezę dla któregośkolwiek z pisarzy, których utwory interpretował, ale czytam Berezę dla Berezę, tak jak dla przykładu czytam Dostojewskiego dla Dostojewskiego, Kafkę dla Kafki, Myśliwskiego dla Myśliwskiego.

Z czasem Henryk coraz bardziej swoją uwagę kierował już nie ku prozie, lecz poezji, zwłaszcza młodej poezji. Brało się to po pierwsze z jego szczerego zainteresowania, a po drugie z tego względu, że stracił wzrok na jedno oko i nie mógł już czytać długich utworów. Potem ukazały się książki, jakie nas, jego kolegów i przyjaciół – ale przecież nie tylko nas – zaskoczyły, zbiory wierszy: *Miary* (2003), *Względy* (2010) i *Zgłoski* (2011). Nie sposób nie dodać, że na wydanie czekają jeszcze *Zgrzyty*. Nie sposób też nie dodać, że Henryk zostawił po sobie dziennik, liczący pięćdziesiąt sześć brulionów formatu a4. O tym jak gigantyczną pracę w tym zakresie wykonał, może mieć pojęcie każdy, kto widział jego odręczne pismo, idealnie równy maczek.

9. Złapałem się w tej chwili, że chyba trochę zbyt łatwo mi się pisze o nim. A zatem mityguję się i zaczynam poniekąd od początku. Znałem go długo, dwadzieścia pięć lat, ćwierć wieku. Długo, ale nie aż tak długo. Kiedy go poznałem, nie żyli już ci, z którymi czuł się związany w sposób wyjątkowy, jak z nikiem innym: Iwaszkiewicz



i Andrzejewski, Wilhelm Mach i Henryk Krzeczkowski, Hłasko i Stachura, których nieustannie wspominał i w mowie, i w piśmie.

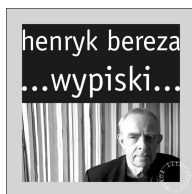
Wiem o nim tyle, ile wiem, wiem też, że wielu rzeczy o nim nie wiem. Wiem na pewno, że lubił czystą zimną wódkę, zwłaszcza grappę, lubił kiszone ogórki i marynowane grzyby, ale nade wszystko chleb pieczony przez Olimpię Grochowską według receptury pielęgnowanej od wieków w jej ziemiańskiej rodzinie. Był przy tym smakoszem co się zowie, nieustannie ciekawy nowych smaków, chociaż ugotować niczego nie potrafił. Lodówkę kupił sobie dopiero pod koniec życia. Telewizor zresztą również. Lubiał radio, nawet bardzo, był zagorzałym słuchaczem programu 2 Polskiego Radia.

Żył jak mnich. Mieszkanie – z widokiem na skrzyżowanie Marszałkowskiej z Jerozolimskimi – zamienił de facto w bibliotekę. Nie miał żadnych pasji poza literaturą. Odpowiadało mu to jak żył. Sprawiał wrażenie kogoś, kto nie chciałby niczego w swoim życiu zmienić. Liczyła się tylko literatura. Nie poświęcał się dla niej, on najzwyczajniej w świecie nią żył, oddychał. Nieustannie czytał (tak jak fenomen Stachury określił mianem „życiopisanie”, tak Leszek Bugajski jego fenomen określił mianem „życioczytanie”), żartowaliśmy nawet, że pewnie czyta także wtedy, gdy śpi, a kiedy nie czytał, pisał; kiedy zaś nie czytał i nie pisał, rozmawiał o tym, co przeczytał i napisał. Ale też przecież kochał życie, kochał ludzi. Interesował się niemal każdym nowym pisarzem, intrygowało go co też mu w głowie siedzi, co pcha do literatury, zmusza do pisania.

Był elegancki w starym dobrym stylu. Zawsze chodził w marynarce, nawet w największe upały, nigdy w samej koszuli. Nigdy też nie widziałem go w swetrze. Pamiętał o imieninach i urodzinach wszystkich bliskich osób, ale też chciał, abyśmy pamiętali o jego imieninach i urodzinach. W dniu swoich imienin i urodzin robił się przesadnie poważny, siebie samego traktował wówczas niezwykle ceremonialnie. Raz do roku przypominał nam, że dzisiaj jest rocznica wyjazdu Hłaski do Paryża albo rocznica wypadku Stachury na dworcu w Bednarach pod Łowiczem, że dzisiaj jest rocznica jego rozmowy z Kazimierzem Wyką, po której odszedł z IBL-u, albo rocznica rozmowy z Iwaszkiewiczem, w efekcie której zażegnany został apokaliptyczny konflikt w redakcji.

Był ostatnim ze starej „Twórczości”. Przeżył nie tylko Iwaszkiewicza i Juliana Strykowskiego, przeżył również Andrzeja Kijowskiego i Artura Międzyrzeckiego, a także Jerzego Lisowskiego i Ziemowita Feddeckiego, a nawet młodszego od siebie Mariana Grzeszczaka. Nie przeżył co prawda Zdzisława Najdera, z którym nawet dzielił w redakcji biurko, ale też Najder dawno temu porzucił literaturę na rzecz polityki i pozwolił „Twórczości” o sobie zapomnieć. Wyjątkowo boleśnie dotknęła go również śmierć Kazimierza Dejmka, będącego stałym czytelnikiem „Twórczości” i którego przyjaźnią bardzo się szczylił, na którą chyba nawet się snobował.

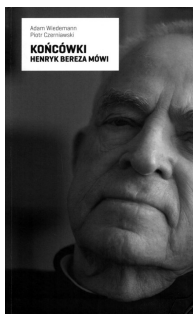
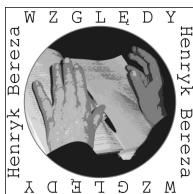
10. Co roku spędzaliśmy razem wigilię świąt Bożego Narodzenia u Hanki i Jerzego Lisowskich, wiem, że Wielkanoc spędzał u Waławy i Wiesława Myśliwskiego. Przez długie lata niemal co sobotę jeździł do Brwinowa do Agi i Leszka Bugajskich (ich dzieci Michał i Magda do dzisiaj mówią o nim „wujek”), a przecież wyjazd z Warszawy kolejką podmiejską do Brwinowa to była dla niego cała wyprawa, niczym dla Fernanda Pessoa wyjazd z Lizbony do Cascais. Gdy na łamach kwartalnika „Regiony”, redagowanego przez Myśliwskiego, ogłosił szkic zatytułowany *Bolimów*, jeden z najbardziej osobistych tekstów jaki napisał, zabraliśmy go z żoną na wycieczkę samochodem po miejscach jego dzieciństwa i młodości: do Bolimowa, do Lasów Bolimowskich, do Miedniewic Klasztornych, do Łowicza i do Skierniewic.



W okolicach Nieborowa zatrzymaliśmy się na skraju lasu i zjedliśmy śniadanie na trawie, potem wszedł po pas w dojrzewające zboże.

Tyle rzeczy było w jego życiu oczywistych, ile nieoczywistych. Przyjaźnił się z nami wszystkimi razem, ale i z każdym z osobna. Miał też mnóstwo znajomych, o istnieniu których zaledwie tylko coś wiedzieliśmy, zaledwie ich się domyślaliśmy. Pewnego razu wyszło na jaw, że poprzez Rajmunda Kalickiego bielego władającego językiem hiszpańskim, koresponduje z Juanem Carlosem Gómezem, ostatnim żyjącym przyjacielem Gombrowicza z Buenos Aires („Goma” zmarł pół roku po Henryku).

Bywało, że porzucał tryb życia mnicha i żył niczym hipis. Wtedy potrafił przeholować, egzystować na krawędzi. To prawda, lubił alkohol, ale biorąc pod uwagę kłopoty kardiologiczne, musiał się pilnować w tym zakresie i też pilnował się. Czasem jednak o tym zapominał. A że głowy już nie miał zbyt mocnej, zasypiał w towarzystwie. Pewnego razu przysnął u nas w domu, podczas bodajże imienin, które wyprawialiśmy z żoną jednego i tego samego dnia. A że wzbudzał naszą czułość, zaczęliśmy zastanawiać się, jaki żart moglibyśmy mu zrobić. Przede wszystkim powinniśmy go sfotografować jak śpi, stwierdził Lisowski i wezwał telefonicznie swojego syna Kacpra, przyszłego operatora filmowego. A że mieszkaliśmy w tej samej kamienicy, już po chwili zjawił się Kacper z aparatem. Zdecydowaliśmy, że otoczmy śpiącego Henryka wiankiem. Ktoś podpowiedział, żeby włożyć mu coś do ręki. Ale co? Wtedy wpadłem na pomysł, aby była to książka jego adwersarza Jana Błońskiego *Romans z tekstem*. I tak też się stało. Fotografię tę można obejrzeć w książce *Końcówki. Henryk Bereza mówi* (2010; w opisie zdjęcia jest jednak błąd, zostało wykonane nie w „Twórczości”, lecz dom obok, w naszym mieszkaniu). Są na tym zdjęciu Hanka i Jurek Lisowscy, Olimpia Grochowska, Aga Bugajska, Darek Bitner, Tadek Komendant, Andrzej Sosnowski z żoną i jeszcze Bohdan Zadura, który nawet zdarzenie to opisał w wierszu pod tytułem *Romans z tekstem*. W trakcie pisania tego tekstu próbowałem odszukać ów wiersz w tomikach Bohdana. Gdy nie znalazłem go ani w *Kaszlu w lipcu*, ani w *Ptasiej grypie*, ani w *Kopcu kreta*, wtedy autor podpowiedział mi, że wiersz ten zamieścił we wcześniejszym tomiku, mianowicie w *Ciszy* z 1994. Cholera, westchnąłem, a zatem to było aż tak dawno!



11. Miał jedną podstawową zasadę, którą kierował się w pracy literackiej. Systematycznie oddzielał literaturę piękną od popularnej, zajmował się wyłącznie twórczością artystyczną, niebędącą na usługach żadnej idei, ani Boga, ani Państwa, ani Kościoła. Nie znosił literatury zideologizowanej i upolitycznionej czy też żurnalistycznej (słowo „żurnalizm” w jego ustach brzmiało niczym obelga). Literatura służy tylko literaturze, według niego, jest wartością samą w sobie, samą dla siebie.

Był zdania, że źródłem literatury jest żywy język, mowa. Od literatury pisanej – że się tak wyrażę – językiem pisanim, wyżej stawiał literaturę pisaną językiem mówionym. Uważał, że nie ma co pisać tak, jak się pisze, jak wolno pisać, a nawet jak pisać należy pod groźbą wykluczenia, lecz wbrew temu wszystkiemu; trzeba pisać tak, jak się mówi. Językiem literatury jest wszak żywioł mowy, żywioł polszczyzny wyzwolonej z reguł i zasad. Pod tym względem pozostał nieprzejednany do końca. Najlepszym tego przykładem *Końcówki*, czyli wywiad-rzeka przeprowadzony z nim przez Adama Wiedemanna i Piotra Czerniawskiego. Dobrze się stało, że dał do druku literalnie to, co powiedział, jak leci, że nie cyzelował tego, nie wygładzał, niczego nie poprawiał. Jego konfesja, pełna powtórzeń, porzuconych wątków, czasem i stylistycznych zapętlenia to właśnie demonstracja żywego języka. *Końcówki* czytane dzisiaj, po jego śmierci, wydają mi się jeszcze lepsze, niż wtedy,

gdy czytałem je zaraz po ukazaniu, za jego życia; pomimo wszystkich wad, jakie w tej książce są, a raczej – dzięki nim.

Był krytykiem w pełni tego słowa niezależnym, autonomicznym i niepodległym. Nikt nie miał wpływu na jego system wartości artystycznych, żaden inny krytyk, żaden pisarz. Miał wielu przyjaciół w życiu i w literaturze, ale jako krytyk przeszedł przez życie i literaturę w pojedynkę. Nie był jednak ani z marmuru, ani z żelaza czy stali, oczywiście miał swoje słabości, nie mógł ich nie mieć. Gdy krytkowało się pisarzy, których wyjątkowo lubił, gdy kwestionowało się jego entuzjazm wobec tego czy tamtego autora, piekł się i żadnego „ale” nie przyjmował do wiadomości.

O pisarzach niespełniających jego oczekiwań i wymagań – co zasygnalizowałem wcześniej – najzwyczajniej w świecie nie pisał. W ten sposób nie pisał o Pawle Huelle, Stefanie Chwinie, Piotrze Szewcu, Andrzeju Barcie, Tomku Tryznie. W jego oczach nie znaleźli uznania, skoro o nich nie pisał: Inga Iwasiów i Manuela Gretkowska, Krzysztof Varga i Andrzej Stasiuk. Ale trzeba przypomnieć, że przewodniczył jury, które w roku 2005 przyznało temu ostatniemu Nagrodę Nike i z tej okazji wygłosił kompetentną, pozbawioną wszelkich uprzedzeń, laudację. Pod koniec życia polubił i docenił Jerzego Pilcha, mimo wcześniejszej rezerwy; „Politykę”, „Dziennik” i „Przekrój” kupował wyłącznie dla jego felietonów, dla niego.

12. Nie roztrząsam kwestii: mylił się czy nie mylił w swoich rozpoznaniach. Faktem jest, że wielu autorów, których nie doceniał, zostało docenionych przez innych, natomiast wielu spośród tych, których doceniał, nigdy przez nikogo więcej nie zostało już docenionych. Tak czy owak był człowiekiem z krwi i kości i krytykiem z krwi i kości.

Literatura była jego błogosławieństwem i przekleństwem, źródłem szczęścia i rozczarowania, wywyższenia i poniżenia. Pisał na przekór krytyce akademickiej,

foto: Kacper Lisowski (Warszawa, mieszkanie Renaty i Janusza Drzewuckich); stoją: Olimpia Grochowska, Dariusz Bitner, Andrzej Sosnowski, Renata Zdanowska, Tadeusz Komendant, Aga Bugajska, Bohdan Zadura, Jerzy Lisowski, Justyna Sosnowska; kUCA: Janusz Drzewucki; siedzą: Henryk Bereza i Hanna Stankówna-Lisowska



uprawianej jak wiadomo przez historyków literatury, o czym wielokrotnie mówił z przekąsem. Z krytyką uniwersytecką był w nieustannym konflikcie, za co płacił wysoką cenę, nieustannie płacił. W *Końcówkach* ostatecznie wyrwało mu się: „moje poglądy ulegały w ciągu dziesięcioleci przemianom, przekształceniom, ale to są ciągle moje poglądy, one się pogłębiały, doskonaliły, to jest jak gdyby fundament mojego intelektualnego dorobku i właściwie na jakiej zasadzie Błoński jest uczonego, a ja nieuczonego? Dlatego, że nie napisałem pracy doktorskiej? Bo mi się nie chciało po prostu. Uważam, że w moich tekstach jest sto doktoratów i piętnaście habilitacji, i ja mogę tak myśleć, nie jest to myślenie megalomana czy farmazona, ja znam prace doktorskie, które moje dwadzieścia stron o jakimś pisarzu rozrabiają w mętnej wodzie na dwieście i są to doktoraty, takich doktoratów znam dziesiątki w Polsce i potem taki doktor jest uważany za uczonego, a ja za intuicjonistę w najlepszym wypadku”. To jedno z najbardziej emocjonalnych i osobistych wyznań, na jakie pozwolił sobie ten nie folgujący sobie niemal wcale zdyscyplinowany człowiek.

Nie ulega wątpliwości, że byłem pod jego wpływem, ogromnym wpływem, co uwidoczniło się nie tylko w doborze lektur, ale także w stylu moich recenzji publikowanych w latach dziewięćdziesiątych w „*Twórczości*”, na co pół żartem, pół serio uwagę zwrócili mi niezależnie od siebie i Lisowski, i Komendant, mówiąc: „piszesz Berezą”. Musiałem więc wyrwać się spod jego wpływu i się wyrwałem. Nie obyło się bez bólu. Podczas jednej ze sprzeczek stwierdziłem, że koniec końców – niezależnie od tego jak podziwiam i szanuję jego pisanie – od jego tekstów wołę swoje teksty, bo moje wydają mi się lepsze. Nie obraził się, nie obruszył, nawet nie zachnął. Pomyślał chwilę i powiedział, że to jest oczywiste, że w tym właśnie tkwi siła pisania, że bez tego poczucia nie mógłbym napisać ani jednego tekstu, ani jednej strony, ani jednego zdania.

13. W czerwcu 2012 roku pojechałem na urlop na wieś. Musiałem jednak wrócić do Warszawy na kilka dni i załatwić parę spraw. Wracając do domu od strony placu Trzech Krzyży, zobaczyłem go rozmawiającego przed wejściem do „Czytelnika” z Januszem Głowackim, Andrzejem Lwem, stałym bywalcem kawiarni, i Ryszardem Drożdżem, zaopatrzeniowcem kawiarni, z którym Henryk ostatnimi laty bardzo lubił rozmawiać. W pierwszej chwili chciałem podejść, przywitać się, ale zaraz pomyślałem, że lepiej nie przeszkadzać Henrykowi przed obiadem, że wpadnę do niego nieco później, gdy będzie pił kawę. Po piętnastu minutach jednak zadzwonił do mnie mój kolega Marek Dusza, fotoreporter i fotoedytor, że dzisiaj podczas Euro 2012 mecz Polska-Rosja, że mnóstwo kibiców rosyjskich zjechało do miasta i może byśmy zobaczyli co się dzieje na Starówce, na Krakowskim Przedmieściu, na Nowym Świecie i Chmielnej. Przytaknąłem, że faktycznie trzeba to koniecznie zobaczyć i poszedłem w miasto, odkładając wizytę u Henryka w „Czytelniku” na jutro. Wieczorem usłyszałem, że wracając z obiadu, zasnął w okolicach hotelu Sheraton i pogotowie ratunkowe zabrało go do szpitala, gdzie stracił przytomność. Kilka dni potem, nie odzyskując przytomności i świadomości, zmarł.

Widzę go – w jasnej płóciennej marynarce – z daleka, od tyłu, jak wchodzi w słoneczny dzień do „Czytelnika”. Żałuję, że nie poszedłem na tę kawę.

Jeśli ci, będący już po tamtej stronie, widzą nas, będących jeszcze po tej stronie, to prawdopodobnie on – patrząc teraz na mnie – uśmiecha się w tak specyficzny dla siebie gorzko-kwaśny sposób i mówi: „No, no, żeby z tą żalnością szanowny pan tylko nie przeholował”.

Warszawa, Wiejska, czerwiec-lipiec 2013 r.

Krystyna Sakowicz

Pianola do snów

Kraina, którą Henryk Bereza odwiedza w moich snach, jest zawsze lekko przyżółcona, jakby to były czasy dawniejsze niż odpowiadające im daty jawy.

Zima jest tu najczęściej występującą porą roku, wiosny są wczesne i krótkie, lato zdarza się tylko raz.

Ziemia jest raczej płaska, poprzecinana liniami wód, których źródła znajdują się głęboko.

W podziemiach pełno żelastw, betonowych dźwigarów, rdzawych węzowych rur, a tunele, w które wjeżdżają lub z których wyjeżdżają pociągi, prawdopodobnie są tunelami w czasie.

Niekiedy czas zawraca, aby można było wysłać w przestrzeń gazetę z czarnymi literami sprzed dwudziestu lat, dociera ona w obszar zwany terazniejszością i przekazuje informacje, które ten obszar całkowicie odmieniają. Henryk odlepia gazetę, która nadleciała z przestrzeni i przywarła do szyby okna, czyta. Wiadomość jest dobra, zaskakująco dobra, świadczy o tym jego nagłe odmłodnięcie.

Zaraz potem śnienie znajduje nam miejsca w pociągu dla wracających z operacji na otwartym sercu. Podróżni mają zabandażowane prawe ręce i niektórym jeszcze trochę leci krew. W wagonie restauracyjnym odbywa się przyjęcie. Przechodzimy przez pociąg, mijamy przedziały, na toaletce pewnej damy widzę puderko różu, dama ta ma na imię Róża. Jest podobna do pani Rose, uzdrowicielki z innego snu, mówię jej o swoim zdumieniu kolejnymi zaśnieniami. Wyjaśnia, że znajdowanie się w czyichś snach nie jest zaśnieniem, to co innego, wszyscy jesteśmy zdalnie sterowani przez los, którego demiurkiem jest sen, a skutek tego jest taki, że w każdej chwili możemy utracić znany sobie kształt, włącznie z tożsamością.

Opisując to, czuję się jak ghostwriterka, gdyż tryb mowy snowej nie sprzyja zapisywaniu jej w linearny sposób. Pierwszy zapis to chaos albo przeciwnie, mały, czarny punkt, od którego linie snu rozchodzą się na wszystkie strony. Śniący, po opuszczeniu snu, zaczyna porządkować jego obrazy, nadawać im sens. Najczęściej zapomina, że sen to nie tylko obrazy i dziwne zdarzenia, i że jeśli nawet wydaje się nam, że opuszczamy śnienie, ono nigdy nas nie opuszcza.

Henryk czyta mi w myślach, nad demiurkiem snu trochę kręci głową.

Jedziemy do Wrocławia. To podróż w sprawie dzieci utrzymywanych przy życiu za pomocą sztucznej inteligencji. Podobne osiągnięcie cywilizacyjne demonstrowano kiedyś na podwórzu redakcji „Twórczości”, gdy podczas zamieci stulecia zanurzano dzieci w lodowatej wodzie. Ja to, niestety, pamiętam. Były przy tym sny. Wszystkie rośliny w oknach wychodzących na podwórze wtedy zwiędły. Być może sen o sztucznej inteligencji jest okazją, aby dowiedzieć się czegoś o prawdziwej, która, jako jej przeciwieństwo, musi być całkiem inna. Dlatego śnimy. Dlatego w podróży zwanej snem odkrywa się ta dodatkowa warstwa bytu, którą możemy poznać bez poczucia fikcji, bo świadomość fikcji, gdy śnimy, jest niemożliwa.

Z Wrocławia jedziemy do Irkucka, gdzie domy z ciemnego, syberyjskiego drewna dają schronienie przed cywilizacją, pewne, chociaż zimne. W jednym z nich, urządzonym jak dacha, zastajemy szczeniaka sznaucera, który gryzie porzucone na krześle korale i małe kamyki runiczne, ich pisma jednak nie rozgryza. Gdy Henryk otwiera

okno, po rusztowaniu oplatającym dom wspina się kobieta w czerwonej sukience, która też ma zamiar tu się schować.

Podczas świąt Bożego Narodzenia oglądamy stare, ciężkie płyty długogrające wytłaczane w anioły, ich muzyka jest twarda i czarna, *wsiadają madonny do bryk sześciokonnych*, w międzyczasie dają Henrykowi kolorowe teczki na papiery, które kładzie na wąskiej półce przymocowanej do ściany i od razu o nich zapomina. Widzę niebezpieczeństwo. Obok leży pojedyncza wełniana skarpeta, tropiciel, awatar nieorganicznej istoty wślizniętej przez sny. Tropiciele od wieków starają się wniknąć do ludzkiego świata, potrzebują naszej energii i bez skrupułów starają się ją pozyskać. Biorę zaczajoną skarpetę ostrożnie w dwa palce i wyrzucam.

Sprawdzam, czy nic więcej nigdzie się nie kryje, nie czai, nie grozi, niczego nie zamierza. Przekładam książki na biurku, odkładam na bok dwie czarne peruki, badam wzrokiem kolejny element różu w pudełeczku, rozplątuję telefony powiązane w pęczki.

Po raz kolejny i niepowtarzalny znika czas, chociaż Henryk wypija tylko parę kropli zielonego alkoholu. Mówi, że Maria Dąbrowska nie była piękną kobietą, raczej brzydką. Czuję, że lodowate powietrze ciągnie z dołu. W piwnicy pokazuje się woda. Wypływa z ruin, które pozostały po wojnie na ziarnistym terenie położonym obok. W dniu imienin Henryka o tym właśnie jest mowa, a ktoś za pomocą dotknięcia życzy wszystkiego najlepszego palcom jego prawej ręki.

Mój prezent mnie zawstydza. Dopiero, gdy go wręczam, widzę, że to książka o Hiobie, a nie ta, którą specjalnie dla niego napisałam. Henryk przemawia do mnie na to po włosku, łagodzi atmosferę, pisze wiersz, przez który widać kawałek nieba, czysty błękit, trzeba na to patrzeć przez szybę, jedno okno ma szesnaście, drugie osiem szyb i widok tyle razy się powiela.

Wczesną wiosną sny wyciągają zmięty prochowiec porucznika Columbo i Henryk ma go nosić. Podobne ubiory obowiązują też pilotów szybowcowych, którzy patrolują niebo na niewielkiej wysokości. Żartują sobie z tego. Machają do nas z góry. Henryk przystaje w drzwiach kuchni, gdy niezdarnie wyciągam z szafki chleb i przygotowuję mu kanapkę, a potem następuje dzień, kiedy jadę z nim i jeszcze jednym pisarzem polskim autobusem 107 albo 307 i obaj widzą, że z moją ręką jest niedobrze, z prawą, a może nawet z lewą, bo w ogóle nie mogę trzymać się poręczy.

Na Krakowskim mijamy zaułek otwarty ku Wiśle, w porcie stoi wielki, biały statek, kolos pełnomorski. Wiem, że to niemożliwe, aby tu zawinął, ale go jednak widzę, statek pochodzi z książki Arny'ego Mindella *Śpiączka*, tematem książki są stany bliskie śmierci, tym wielkim, białym statkiem kierują aniołowie. Za podróż się nie płaci. Można wziąć sobie wolne i popłynąć na wakacje. Na wszystkie pokusy tego snu mówię *nie*, a jednak ciemnieją okna na krańcach poplątanych szpitalnych korytarzy, w które wchodzimy nie wiem jak i kiedy. Henryk wyciąga z kieszeni płaszcz porucznika Columbo straszliwą latarkę w kształcie pistoletu i strzela z niej jaskrawoniebieskim światłem, atakuje ciemność, nieświadomość, lęk, wszystkie te zdradliwe rzeczy, które mogą się wyłonić z głębi za szklanymi drzwiami.

Długo nic się nie wyłania, ale w pokoju Henryka dywan na podłodze zabrudzony jest maźnięciem. Tak, to ja. Czuję winę, że ostatnio chodzę po snach i maluję je byle jak, byle zaznaczony był sprzeciw i coś nastąpiło w sposób inny, według innego wzoru, niż ten dawno zaprojektowany wzorzec symetrii na dywanie. Gdy Henryk podchodzi, aby spojrzeć na maźnięcie, mówię, że robię takie rzeczy chyba dlatego, że nie umiem już czytać ani pisać. Raczej mi nie wierzy i może będę musiała powiedzieć mu wszystko, o czym nie wie, wszystko, co się dzieje, wszystko, co